

Partyzant dwóch okupacji

Aleksander Arkuszyński „Maj”

W swych młodzięcych latach miałem Matkę-Ojczyznę kochaną.

We wrześniu 1939 r. dwaj wrogowie zakuli ją w kajdany.

A po tej niewoli okrutnej zamiast wymarzonej Ojczyzny-Matki

Przyszła Ojczyzna-Macocha, która nas akowców nigdy nie kochała.

Aleksander Arkuszyński jest rówieśnikiem II Rzeczypospolitej. W 1918 r. przyszedł na świat w chłopskiej rodzinie w miejscowości Dąbrowa nad Czarną w Opoczyńskim. W Piotrkowie Trybunalskim ukończył gimnazjum im. Bolesława Chrobrego. Rodzicom trudno było utrzymać sześcioro dzieci, nie mówiąc już o posłaniu któregoś z nich na studia, o których marzył Aleksander. Pozostały mu więc dwie drogi – sutanna albo mundur. Jak sam wspominał, marzył o seminarium duchownym, zresztą podobnie jak najbliżsi koledzy z gimnazjum. Jednym z przyjaciół, którym udało się spełnić te marzenia był Jan Kulik – późniejszy biskup pomocniczy w Łodzi. Losy Aleksandra potoczyły się inaczej, a o późniejszym wyborze zdecydowało powołanie do wojska. W ówczesnej sytuacji uważał tę służbę, jak większość patriotycznie nastawionej młodzieży, za swój obowiązek. Przyznawał jednak sam, że nie była nigdy jego marzeniem, i traktował ją raczej jako drogę do uzyskania wykształcenia i zawodu, niż początek wielkiej wojskowej kariery. Do decyzji o zostaniu zawodowym żołnierzem dojrzał powoli. Najpierw odbył Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy przy 18 pułku piechoty w Skierniewicach i dopiero po nim zdecydował się na stałe związać z wojskiem. Wypełnił wniosek do Oficerskiej Szkoły Zawodowej Piechoty w Ostrowi-Komorowie i trafił na kurs do podwarszawskiego Rembertowa.

Po powrocie do Skierniewic został dowódcą drużyny w jednej z kompanii. Na stacji kolejowej odbierał przyjeżdżających rezerwistów i transporty koni. Tak zastała go wojna. Po zbombardowaniu stacji pułk wyruszył do Warszawy, by wziąć udział w jej obronie. Na miejscu dowództwo zdecydowało jednak o wysłaniu go w kierunku na Lublin. W okolicach Garwolina Pułk został niemal całkowicie rozбитo przez Niemców. Sam Arkuszyński podczas próby powrotu w rodzinne strony został aresztowany. W niemieckiej niewoli, zanim został przewieziony do dowództwa, zgłosił się do pracy w kuchni, skąd udało mu się uciec.

Po powrocie w rodzinne strony krótki czas musiał się ukrywać. Gdy niebezpieczeństwo aresztowania minęło, zapisał się do straży pożarnej, co miało gwarantować, że nie zostanie wywieziony na roboty do Rzeszy.

Los chciał, że w mieszkaniu jego rodziców wynajmował pokój nauczyciel Władysław Skalski – przedwojenny aktywista Związku Strzeleckiego, gorący patriota, a w tym czasie już zaprzysiężony członek Służby Zwycięstwu Polski. To on powiedział Arkuszyńskiemu o istnieniu konspiracyjnej organizacji i odebrał od niego przysięgę. Było to w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, a Arkuszyński przyjął pseudonim „Maj”. Został komendantem placówki konspiracyjnej w gminie Radonia w obwodzie Opoczno. Teren na którym działał wchodził w skład Okręgu Łódź.

Początki konspiracji były bardzo skromne. Jak wspominał nasz bohater: „W chwili powstania naszej placówki mieliśmy tylko jeden karabin, trochę amunicji, jedną dubeltówkę oraz pistolet typu parabellum. Karabin przechowywaliśmy w stodole u mojego ojca, dubeltówkę ukrył nauczyciel Skalski w schowku nad rzeką, a pistolet przechowywałem pod strzechą w stodole”. Nie było też na razie mowy o żadnych akcjach zbrojnych. Nie pozwalały na to zarówno skromne siły jak i obawa przed niemieckim odwetem. Póki co działalność polegała więc na szkoleniach, zbieraniu informacji i drobnej dywersji.

Sytuacja zmieniła się dopiero jesienią 1942 r. Arkuszyńskiemu udało się zorganizować pluton, który od lipca 1943 r. wszedł w skład oddziału partyzanckiego Armii Krajowej „Trojan”. Rozpoczęły się wówczas na większą skalę akcje dywersyjne, likwidacja nadgorliwych volksdeutschów i konfidentów. Po pewnym czasie „Maj”, wykazujący duże konspiracyjne talenty, został mianowany zastępcą dowódcy oddziału, który po reorganizacji przyjął nazwę „Wicher”. Arkuszyński uzyskał wówczas awans na stopień podporucznika. W tym czasie jego żołnierze przeprowadzili akcję na fabrykę Endera w Moszczenicy, rozbroili posterunek żandarmerii w Ręcznie i zlikwidowali niemiecki obóz w Ciebłowicach.

Kolejne sukcesy i udane akcje, a zarazem spokój i opanowanie „Maja” sprawiły, że został ponownie doceniony przez swoich przełożonych. Decyzją szefa Kedywu Okręgu Łódź kpt. Adama Trybusa „Gaja” został mianowany dowódcą Oddziału Partyzanckiego „Grom”. Nominacja odbyła się jednak w zaskakujących dla „Maja” okolicznościach. Tak wspominał ten czas: „Podjąłem się bardzo odpowiedzialnego zadania i wziąłem na swe barki wielki ciężar. A jeszcze kilka dni temu brałem udział w typowaniu naszych partyzantów do przekazania nowo powstałemu oddziałowi »Grom«. Nie sądziłem wówczas, że wkrótce przejdą oni pod moją bezpośrednią komendę”. Rzeczywiście, Arkuszyński przekazywał wcześniej partyzantów ze swojego oddziału „Wicher” do nowej jednostki. Czynił to nawet z pewnym żalem, bo byli to jego najlepsi ludzie, których trudno było zastąpić. Po kilku dniach – w końcu lutego 1943 r., – jej dowódca został jednak ranny, a „Maj” zastąpił go na stanowisku.

Na terenie, na którym operował oddział, czyli w okolicach Piotrkowa Trybunalskiego, łódzki Kedyw miał wówczas cztery oddziały: „Grom”, „Błyskawica”, „Wicher” i „Burza”. W kwietniu na terenie Inspektoratu Piotrkowskiego utworzono trzy kolejne: „Zryw”, „Błysk” i „Henryk”. Był to wówczas jeden z silniejszych ośrodków zbrojnego ruchu oporu w kraju. Oddział Arkuszyńskiego liczył 27 żołnierzy, by w maju 1944 r. powiększyć się o kolejnych dwunastu partyzantów.

Nie wszystkie akcje kończyły się sukcesem. Przykładem może być nieudany atak na budynek Gestapo w Piotrkowie. Nie udało się wówczas uwolnić więzionych tam żołnierzy podziemia. W czerwcu 1944 r. podkomendni „Maja” rozbili natomiast niemiecki obóz Kałmuków pod wsią Jastrząb.

W lipcu 1944 r. w ramach akcji „Burza” oddział „Grom” został wcielony do 25 pp AK. W jego ramach Arkuszyński był dowódcą plutonu. W czasie koncentracji i marszu na pomoc walczącej Warszawie partyzanci stoczyli krwawy bój pod Diabłą Górą, gdzie zabito 66 Niemców. Poległo wówczas 10 partyzantów, których pochowano w miejscu bitwy. Arkuszyński wspominał wydarzenia, gdy już po wojnie ekshumowano ich ciała. Gdy przemawiał nad otwartym grobem swoich żołnierzy, któryś z przyjaciół szepnął mu do ucha, by uciekał, bo właśnie zjawili się ubecy, którzy chcą go na miejscu aresztować.

Największą i najkrwawszą bitwę żołnierze „Maja” stoczyli jednak pod wsią Stefanów, gdzie zabito w walce ok. 140 Niemców. Była to największa, a zarazem jedna z ostatnich partyzanckich potyczek. Pułk został bowiem rozformowany w związku ze zmieniającą się sytuacją polityczną. Sowietnicy wyparli Niemców z rodzinnych stron Arkuszyńskiego 18 stycznia 1945 r. „Maj” dobrze zapamiętał tę datę. Niestety nie z powodu radości z „wyzwolenia”. Pijani czerwonoarmiści zastrzelili wówczas jego wracającego do domu młodszego brata – Stanisława. Stało się to właściwie bez powodu, a dwudziestoletni mężczyzna stracił życie, bo miał broń i... zegarek, który po morderstwie zabrali mu „wyzwoliciele”. Aleksander dowiedział się tym w końcu stycznia – po powrocie do domu. Nic dziwnego, że w swoich wspomnieniach podkreślał nieufność, jaką mieszkańcy rodzinnych stron żywili do czerwonoarmistów.

Mimo tych wydarzeń, „Maj” nie od razu zdecydował się na kontynuowanie walki. Jak większość młodych ludzi próbował po wojennej zawierusze ułożyć sobie życie. Postanowił

zatrzymać się w rodzinnym domu, by pomóc w gospodarstwie, a później spróbować rozpocząć studia. O planowanej kiedyś służbie wojskowej w nowych realiach politycznych nawet nie myślał. Z niepokojem śledził natomiast to, co działo się w kraju: „Ni stąd, ni zowąd – jakby spod ziemi, wyrosli komunistyczni »patrioci«, o których działalności nikt nigdy nie słyszał. Rozgłaszali swoje zasługi wojenne na organizowanych wiecach, podkreślając działalność w PPR i AL. Paradowali w czerwonych lub biało-czerwonych opaskach i z karabinami na ramionach, ale wielu z nich nie umiało nawet obchodzić się z bronią palną. Byli ślepo posłuszni nowej władzy, która bez sprzeciwu wykonywała wszelkie polecenia i wskazówki nadchodzące z Moskwy”. Wtedy też po raz pierwszy zetknął się z hasłem „zapłuty karzeł reakcji”. Na razie były to tylko niktzemne, obraźliwe epitety. Wkrótce jednak doszło także do bezpośrednich represji. W mroźny lutowy poranek do domu wtargnęło kilku znanych „Majowi” mężczyzn z karabinami i opaskami na rękawach. Zabrali go do Dębowej Góry, gdzie przesłuchiwało go dwóch enkawudzistów i funkcjonariusz UB, namawiając do współpracy. „Maj” udał, że wyraża zgodę i zobowiązał się następnego dnia stawić w Opocznie. Planował początkowo, że wyjedzie na Zachód, ale ojciec przekonał go, by tymczasowo schronił się u wuja w Bełchatówku. Tak też zrobił. Pracował przez pewien czas w młynie, próbując przeczekać najtrudniejszy okres. W tym czasie poznał swoją przyszłą żonę – Jankę. Z rodziną praktycznie się nie widywał, otrzymywał tylko co jakiś czas informacje od przyjaciół. Nie były to niestety dobre wieści. Wiadomości o aresztowaniach kolejnych kolegów i panującym w kraju bezprawiu brzmiały przerażająco. Samowolę komunistów hamowała nieco działalność oddziału partyzanckiego „Wilk”, prowadzonego przez lokalnego bohatera z czasów okupacji (dowódcy oddziału „Błyskawica”) – Tadeusza Bartosiaka. Wkrótce także nasz bohater dołączył do tych, którzy zdecydowali się zbrojnie przeciwstawić terrorowi.

Na początku marca do młyna przyjechał przełożony „Maja” z czasów okupacji. Adam Trybus. „Gaj” przybył do Bełchatówka w konkretnym celu – by namówić Arkuszyńskiego do powrotu do konspiracji. Ten nie wahał się długo. Skoro nowa władza nie pozwalała na powrót do normalnego życia, pozostaje jedno wyjście – samoobrona w lesie. „Gaj” nie kierował już wówczas inspektoratem AK, ale powstałym na jej bazie Ruchem Oporu Armii Krajowej (ROAK). Arkuszyński został wysłany do Obwodu Łask i został dowódcą 25-osobowego oddziału partyzanckiego „Zryw”, którym dowodził do lipca 1945 r.

Wspominając ówczesną sytuację na terenach, gdzie przyszło mu walczyć, pisał: „Zdecydowana większość społeczeństwa nie akceptowała tych nowych porządków. Krążyły dowcipy antykomunistyczne, zrywano rozwieszane plakaty propagandowe, bojkotowano zebrania dotyczące zakładania spółdzielni produkcyjnych (...). Taka postawa społeczeństwa w naszym rejonie była zasługą także działalności ROAK i podległego mu oddziału partyzanckiego, który kilkakrotnie rozpędzał te zebrania (...). Często (...) występowaliśmy jawnie, aby wiadano, że działamy w obronie sprawiedliwości i uciśnionych ludzi. Wysyłane przeze mnie patrole interweniowały dość często i skutecznie. Tu i ówdzie byli przepędzani agitatorzy komunistyczni, wielu donosicieli otrzymywało ustne lub listowne upomnienia, a jeśli nie odnosiło to skutku, otrzymywali kary chłosty jako ostrzeżenie przed najwyższym wymiarem sprawiedliwości – karą śmierci”.

Najgłośniejsza i najbardziej spektakularna akcja wykonana przez oddział „Maja” obyła się jednak bez ofiar. 10 czerwca 1945 r. z gmachu Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Pabianicach uwolniono bez jednego wystrzału więzionych tam żołnierzy AK.

Wcześniej „Maj” otrzymał rozkaz wycofania się z tego terenu, by stworzyć wrażenie, że w regionie Pabianic nie ma żadnych poakowskich oddziałów. O skuteczności akcji miało bowiem zdecydować zaskoczenie. Z pomocą współpracowników z UB sporządzono szczegółowy szkic budynku i przygotowano plan ataku. W dniu akcji partyzanci podjechali pod budynek UB „łazikiem” i ciężarówką. Wcześniej przebrali się w mundury LWP

z wyjątkiem jednego, udającego oficera NKWD. Z samochodu wynieśli rzekomo rannego, pokrwawionego żołnierza, żądając dla niego lekarza. W ten sposób dostali się do budynku, gdzie bez walki rozbroili wszystkich funkcjonariuszy. Ubeków zamknięto w celach, a partyzanci i ich oswobodzeni koledzy odjechali samochodami w kierunku Dłutowa. Z posterunku zabrano też całą dokumentację. Jak wspominał „Maj”: „Szef PUBP w Pabianicach szalał z wściekłości (...), ale oficjalnie miejscowe władze oraz prasa milczały. No cóż, pabianicka rządząca komuna została skompromitowana. Ponadto kilku ubeków posiedziało sobie trochę w celach przeznaczonych dla »zapłutych karłów reakcji«. Już na drugi dzień rano rozdzwoniły się telefony i powysyłano rozkazy do okolicznych komend UB i MO, aby przeprowadzić ścisłą penetrację terenu. Na rogatkach większych miast województwa łódzkiego i Łodzi poustawiano szlabany i budki kontrolne MO. To wszystko świadczyło, że komunistyczna władza nie czuła się zbyt mocna i egzystowała dzięki potęgze ZSRR, a idea AK żyje i będzie dążyć do odzyskania prawdziwej wolności”.

Warto wspomnieć, że „Maj” wziął udział także w przygotowaniach do ataku na budynek Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi, którą planowano na czerwiec 1945 r. Miał dowodzić oddziałem ubezpieczającym akcję odbicia przetrzymywanych tam dowódców Okręgu Łódź AK. Zmiana sytuacji politycznej po utworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej ze Stanisławem Mikołajczykiem jako wicepremierem spowodowała jednak, że akcji zaniechano. Podobnie jak większość Polaków, dowództwo ROAK liczyło wówczas na zmianę polityki władz i złagodzenie kursu.

Działalność konspiratorów nie trwała już jednak długo. 18 lipca do oddziału przyjechał „Trybus”, który zapoznał Arkuszyńskiego z treścią swojego głośnego listu do premiera Osóbki-Morawskiego, w którym deklarował chęć ujawnienia w zamian za zmianę polityki wobec byłych żołnierzy AK. Było to już po wyrażeniu przez Osóbkę-Morawskiego zgody na postawione warunki, więc sprawa była przesądzona. „Maj” przyjął decyzję o rozwiązaniu oddziału bez entuzjazmu, musiał jednak podporządkować się rozkazowi: „Te ostatnie chwile rozstania z oddziałem były bardzo ciężkie i trudne do opisanego. Bardzo to przeżywałem. Doznawałem uczucia jakiegoś zawodu, klęski, strachu przed czymś nowym i żalu, że wszystko skończyło się inaczej” – wspominał.

Po rozwiązaniu oddziału w końcu lipca 1945 r. nie mógł od razu wrócić w rodzinne strony. Cięgle był przecież „na indeksie”, a na razie nie dokonał formalnego ujawnienia: „Do głowy przychodziły mi rozmaite myśli: uciekać za granicę albo zaryzykować ujawnienie się i rozpocząć studia, albo zgłosić się do wojska do służby zawodowej. Jednakże służba w komunistycznym wojsku, dowodzonym przez oficerów NKWD, nie była dobrym wyjściem. Ucieczka za granicę także nie była dobrym pomysłem, a więc co?”. Ostatecznie zdecydował się na ujawnienie. 11 sierpnia 1945 r. w budynku PUBP Pabianicach, który dwa miesiące wcześniej rozbijał ze swoimi żołnierzami, złożył broń. Niedługo później wyjechał do podwarszawskich Włoch, by jako oficer AK uzyskać dokumenty weryfikacyjne. Przypadkowo spotkany znajomy Ałowiec z okresu okupacji ułatwił załatwienie formalności i wydanie dokumentów. Wkrótce okazały się bardzo przydatne, bo podczas powrotu w rodzinne strony został od razu aresztowany przez nadgorliwych funkcjonariuszy. Mocne papiery z Warszawy sprawiły jednak, że został wypuszczony i dotarł szczęśliwie do domu.

Radość powrotu w rodzinne strony mieszała się z niepewnością i pytaniami – jak ułożyć sobie życie od nowa? Pomógł mu w tym przyjazd Artura Hilarego Moraczewskiego „Morusa” – byłego szefa piotrkowskiego Kedywu, który zjawił się u „Maja” z konkretną propozycją. Namówił on Arkuszyńskiego, by wziął udział w pracach piotrkowskiej Komisji Likwidacyjnej. „Maj” wyraził zgodę, choć miał spore wątpliwości: „Nie wierzyłem w dobre intencje nowej, komunistycznej władzy. Uważałem, że ujawnienie się to haczyk z przynętą, polegający na uspieniu czujności: udawać, że sprawa akowska została skończona i okazywać pozornie dobrą wolę, ale po cichu rozpracować jej strukturę, by wkrótce przystąpić

do zdecydowanej likwidacji wszystkiego, co nie jest związane z komuną. Wprawdzie i ja złapałem się na ten haczyk, ale jakie miałem wyjście? Czy tak jak inni pozostać w Podziemiu i dalej walczyć? W tych rozważaniach doszedłem do wniosku, że walka z bronią w ręku garstki patriotów przeciw potędze sowieckiej nie ma żadnych szans. Należało więc chyba podjąć inną walkę i ratować to, co jeszcze było można, a przede wszystkim nasza wspaniałą młodzież”.

Komisji przewodniczył Moraczewski, ale oczywiście znaleźli się w niej także przedstawiciele nowej władzy. Arkuszyński wspominał tę pracę jako „upokarzającą” i wykonywaną z poczuciem „moralnej klęski”. Zakończenie działalności komisji przyjął więc z ulgą. Ponownie pojawiło się wówczas pytanie – co dalej? Arkuszyński powrócił do myśli o studiach. Niestety, rekrutacja na niektóre kierunki była już zamknięta. By nie tracić roku złożył więc papiery na Wydział Przemysłu Spożywczego Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Łodzi. Został przyjęty i przeprowadził się na stałe do Łodzi. Zamieszkał z kolegami w mieszkaniu przy ul. Żwirki. Trzy lata spędzone wówczas w Łodzi wspomina jako jeden z najlepszych okresów w swoim życiu. Uplłynęły na nauce, spotkaniach z kolegami i dyskusjach o przyszłości. Zimą 1946 r. miał jeszcze jedną propozycję powrotu do konspiracji – tym razem ze strony dowództwa Konspiracyjnego Wojska Polskiego. Uznał to jednak za bezcelowe uważając, że w zmienionej sytuacji politycznej należy walczyć w inny sposób.

Po trzech latach nauki uzyskał absolutorium i zaczął przygotowywać się do egzaminu dyplomowego. Dostał też pracę – w browarze przy ul. Orlej w Łodzi. W Boże Narodzenie 1948 r. w Parznie koło Bełchatowa wziął ślub ze swoją sympatią – Janką. Po powrocie do Łodzi udało się wynająć nowe mieszkanie. W marcu 1949 r. dowiedział się, że zostanie ojcem. Kiedy wydawało się, że życie zaczęło się układać po jego myśli, przyszedł kolejny cios. 21 lipca został aresztowany na ulicy w Łodzi i zabrany do gmachu WUBP przy ul. Anstadta. Zarzutom okazało się rzekome rozstrzelanie w czasie okupacji 17 sowieckich żołnierzy pod wsią Stefanów. W praktyce chodziło o akcję przeciwko grupie „własowców”, okazała się ona jednak dobrym pretekstem do aresztowania „Maja”. Przeszedł ciężkie śledztwo najpierw na Anstadta, później w więzieniach przy ul. Kopernika i Kraszewskiego. Przez blisko 2,5 roku próbowano mu udowodnić dokonanie zbrodni na czerwonoarmistach. 19 listopada 1951 r. rozpoczął się proces 7 oskarżonych. Oprócz Arkuszyńskiego był wśród nich inny legendarny dowódca partyzantki – Kazimierz Załęski „Bończa”. 5 grudnia ogłoszono wyrok. Arkuszyński i dwóch innych podsądnych zostali uniewinnieni.

Następnego dnia pod bramą więzienia przy ul. Kraszewskiego na Arkuszyńskiego czekała z kwiatami żona. Przychodziły mu do głowy różne myśli: „Pierwsze dni wolności były wielkim odprężeniem, po nieludzkich warunkach spędzonych w areszcie śledczym przez okres prawie 2 lata i 5 miesięcy. Ale co dalej, czy to już prawdziwa wolność? Czy w tym państwie ona istnieje? A jeśli tak, to co z kolegami, którzy zostali w tym więzieniu? Im dłużej siedziałem w domu i analizowałem te sprawy, tym gorzej się czułem, tym większe ogarniało mnie zwątpienie”. Nie było ono bezzasadne, podobnie jak obawy o to, czy uzyskał prawdziwą wolność. Wkrótce okazało się bowiem, że prokurator zażądał rewizji wyroku, a Arkuszyńskiego wezwano ponownie do siedziby WUBP. Uznał, że nie jest w stanie tego znieść psychicznie i postanowił się ukrywać u rodziny na wsi. Dopiero w marcu 1952 r. ogłoszono wyrok zatwierdzający decyzję sądu pierwszej instancji.

Mógł wreszcie spokojnie wrócić do Łodzi. Nie oznaczało to jednak końca kłopotów. Praktycznie nie było mowy o znalezieniu stałej pracy. Przez długi czas musiał walczyć o dopuszczenie go do egzaminu dyplomowego, który kiedyś uniemożliwiło aresztowanie. W tej sprawie dostał się, dzięki znajomościom kogoś z dalekiej rodziny żony, do samego ministra – Adama Rapackiego. Najprawdopodobniej po jego interwencji władze Politechniki Łódzkiej zgodziły się dopuścić Arkuszyńskiego do egzaminu. Zdał go pomyślnie, otrzymując

dplom inżyniera chemii spożywczej. Nie pomogło to jednak w znalezieniu pracy. Piętno „wroga ludu” nadal ciążyło. Do tego stopnia, że postanowił spróbować nielegalnego wyjazdu za granicę. Miał w tym pomóc nieznanemu człowiekowi ze Świnoujścia, trudniący się przerzutem ludzi na Zachód. Gdy dotarł na miejsce, okazało się, że wskazane mieszkanie jest opieczetowane, a od sąsiadów dowiedzieli się, że poprzedniego dnia był tam ubecki „kocioł”. Nie pozostawało więc nic innego jak wrócić do Łodzi. Ktoś podpowiedział mu, że powinien wykorzystać tzw. nakaz pracy po ukończonych studiach. Rzeczywiście, na politechnice otrzymał tego typu dokument kierujący go do Raciborza na etat kierownika laboratorium i kontroli technicznej. Także tutaj nie uniknął problemów i był nachodzony przez funkcjonariuszy UB. Po pewnym czasie pojawiły się też kłopoty w pracy. Postanowił wówczas napisać podanie o służbowe przeniesienie do Łodzi. Dostał pracę w Związku Spółdzielni Pracy – jako inspektor produkcji spożywczej. Od lutego 1956 r. przeszedł do Wojewódzkiego Zjednoczenia Państwowego Przemysłu Terenowego. Cztery lata pracy w tej instytucji upłynęły mu spokojnie, bez nękania ze strony władzy. Kolejne spędził w Ksawerowie pod Łodzią jako pracownik Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej. Jeszcze kilkakrotnie nachodzili go funkcjonariusze SB, namawiając np. do wyszukiwania kolegów, którzy „nie pogodzili się z nową rzeczywistością” i próbując się umówić na spotkania. Za każdym razem odmawiał.

Po 1970 r. sytuacja trochę się zmieniła. Środowisko AK zaczęło coraz częściej organizować spotkania, rocznicowe uroczystości, a na pogrzebach wygłaszano kazania, tak jakby żyli w wolnym kraju. Jak wspominał Arkuszyński, honorowy kapelan tych środowisk ks. Jan Umiński większość swoich kazań adresowanych do żołnierzy AK rozpoczynał jednak od „powitania” esbeków, którzy przyszedli „służbowo” do kościoła. Witając ich słowami: „Słuchajcie dobrzy ludzie, wy, którzyście przyszedli nie z własnej woli do Domu Bożego, ale z polecenia szatana”. Jeszcze w 1987 r. po mszy św. w Kościele Jezuitów z okazji 45-lecia AK był wzywany do siedziby SB.

Po 1989 r. aktywnie działał w organizacjach kombatanckich. Organizował Okręg Łódź Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, działał w zarządzie Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego. Napisał też dwie książki: *Przeciw dwóm wrogom* i *Sąd nad żołnierzami AK z kulą w głowie*. Jest współautorem monografii *Dzieje 25 Pułku Armii Krajowej*. Uhonorowany wieloma odznaczeniami bojowymi w tym Orderem Virtuti Militarii i dwukrotnie Krzyżem Walecznych.

W maju 2008 r. awansowany na stopień generała brygady.

Tomasz Toborek